Już nie skrzypi moja szafa

Piotr Guzy na ławce na nadmorskim deptaku, niedaleko swojego apartamentu z balkonem, z którego roztacza się widok na morze,

na osiedlu Daimus-La Playa w Hiszpanii. To nadmorskie osiedle oddalone jest o ok. kilometr miasteczka Daimus i trzy kilometry od starego i uroczego miasta powiatowego Gandia, fot. arch. Piotra Guzego.

Rozmowa o Śląsku, wspomnieniach i życiowych rozliczeniach z mieszkającym w Hiszpanii pisarzem Piotrem Guzym.

Marek Baster: Czym jest Śląsk dla człowieka, pisarza, Ślązaka, który 45 lat temu na stałe go opuścił?

Piotr Guzy: Przede wszystkim wspomnieniem. Choć po odzyskaniu przez Polskę wolności odwiedziłem mój Śląsk kilka razy. Obraz Śląska, jaki przechowuję w pamięci, jest zatem zbitką tego sprzed wojny z tym, co zobaczyłem w czasie kilku niedawnych wizyt. Przeważa jednak ciężar gatunkowy wspomnień sprzed 1939 roku. To tak, jak gdyby sama pamięć broniła się przed najazdem nowych wrażeń, pieczołowicie – powiedziałbym nawet, z pewnym nabożeństwem – chroniąc w moim wnętrzu te tak bardzo już dziś odległe czasy. Konkretnie zaś: są to wspomnienia związane z dwoma określonymi miejscami.

Pierwsze to Tarnowskie Góry, gdzie chodziłem do szkoły,

najpierw do tzw. ćwiczeniówki przy seminarium nauczycielskim, potem do gimnazjum. Ono wtedy nosiło piękne i związane mocno ze Śląskiem imię księcia Jana Opolskiego. Nie potrafię dociec, dlaczego po wojnie to zmieniono. Do gimnazjum przylegał bardzo stary i piękny cmentarz ewangelicki, który władze komunistyczne w barbarzyński sposób zbezcześciły, zrównując go z ziemią. W ten sposób zamordowano kawał historii mojego miasta.

Jeszcze dziś, kiedy nie potrafię zasnąć przywołuję w pamięci drogę, która z naszego domu na tzw. górce prowadziła do szkoły. Przypominam sobie poszczególne domy, ogrody przylegające do klasztoru ojców Kamilianów. Wzdłuż płotu rosły orzechy laskowe, które po deszczu spadały na chodnik. Biegaliśmy tam wtedy, ścigali się do ich zbierania. Pamiętam ulicę Krakowską, wieczorami roiło się od ludzi, to był nasz tarnogórski deptak, szło się od gimnazjum w górę i z powrotem. Podobno już się tak dziś nie chodzi. Pewnie telewizja zabiła ten tak zbliżający ludzi do siebie obyczaj. W jednej bramie przy Krakowskiej był kiosk z prasą, gazety i tygodniki wisiały na ścianie, można było czytać pierwsze strony, gazety leżały także rozłożone na dużej ladzie. Dla mnie to było czarujące miejsce, pachniało farbą drukarską, tchnęło jakimiś obietnicami na przyszłość. Pamiętam Dom Ludowy, w którym się mieściła biblioteka i czytelnia Towarzystwa Czytelni Ludowych. Będąc w gimnazjum, zachodziłem tam niemal codziennie, nieważne, co to było, aby

było drukowane. Gazety wisiał na tzw. kijku, tego też już dziś nie ma. Cisza wisiała w powietrzu idealna, spokój jakby się było w innym świecie, cudowne, cudowne miejsce. Tam czytywałem „Wiadomości Literackie”. Nie przeczuwałem, że kiedyś zostanę laureatem nagrody emigracyjnej kontynuacji tego periodyku, londyńskich „Wiadomości”.

MB: Pan się urodził w Zawadzkiem na Śląsku Opolskim, który pozostał w Niemczech.

PG: I to jest drugie miejsce, do którego mnie prowadzą przedsenne wspomnienia. Zawadzkie – rozległa wieś, przed wojną po drugiej stronie granicy, na byłym Śląsku Opolskim. Tam się urodziłem osiemdziesiąt lat temu. Dom, w którym przyszedłem na świat, już nie istnieje, ale dokładnie wiem, gdzie stał. Kiedy kilka lat temu byłem tam z moją angielską wnuczką, mogłem jej to miejsce pokazać, nawet zrobiliśmy sobie wspólne zdjęcie. Gdzieś do 14-15-go roku życia spędzałem tam letnie wakacje. Zawadzkie to były szeroko rozrzucone osady, które się nazywały: Pustki, Żydownia, Świerkla. Piękne, polskie nazwy, zawsze mnie urzekały. Mój dziadek ze strony matki, czyli starzyk, był robotnikiem leśnym i mieszkał na Monisku, nie wiem, co to słowo znaczy, ale też ładne. Monisko to były dwa domy na skraju lasu, jeden należał do gajowego, w drugim mieszkali moi dziadkowie. Między Świerklą a Moniskiem płynęła Małapanew, myśmy mówili przed wojną Malapana. Wtedy to była

jeszcze krystalicznie czysta rzeka. Na łące na skraju rzeki, jakiś kilometr od domu, pasłem krowy. Pustki wznosiły się po drugiej stronie rzeki i pod wieczór w cichym i szerokim powietrzu leciały stamtąd dźwięki orkiestry miejscowej organizacji Hitlerjugend, niosły się głosy maszerujących przez wieś chłopców w brunatnych mundurach, śpiewających „Die Fahne hoh, Die Reihen sind geschlossen", Hitlerowcy urządzali ogniska. Któryś z moich kuzynów na Świerkli, dla których ja byłem „gorolem", chyba też członek HaJot, wziął mnie kiedyś ze sobą. Impreza odbywała się na łące za kościołem parafialnym, w tle była czarna ściana lasu, ogień duży, płomienie strzelały wysoko, a już była noc, i w przerwach między frazami hitlerowskich i starogermańskich piosenek dało się słyszeć huczenie ognia. To robiło wrażenie, to fascynowało. To było prymitywne, od tego wiało grozą. Za kilka lat ci młodzieńcy ruszą na podpalenie całego świata, a ja będę przed nimi uciekał i na dobrą sprawę rozpoczętą 1 września 1939 roku ucieczkę skończę pod koniec czerwca 1940, kiedy na barce węglowej dopłynę do Liverpoolu w Anglii. Po czterech latach oni będą uciekali przede mną, żołnierzem brygady pancernej generała Maczka.

MB: Pański Śląsk jest kameralny i intymny. Nie ma już Pańskiego Śląska.

PG: Pojęcie Śląska jako olbrzymiego okręgu przemysłowego przyszło dopiero później. Z doświadczenia osobistego było mi

nieznane, ja przed wojną nie byłem nawet w Bytomiu, nie mówiąc już o Katowicach. Trzeba także pamiętać, że Tarnowskie Góry nie miały przed wojną przemysłu, bodajże największym pracodawcą była Spółka Bracka, tzw. Knappschaft, ogólnośląski zakład ubezpieczeń dla górników. Świeżo upieczeni maturzyści pracowali tam za 20 złotych miesięcznie. Było to miasto urzędników i miasto garnizonowe, gdzie stacjonowały dwie jednostki, trzeci pułk ułanów i jedenasty piechoty. Mój ogląd Śląska jest zatem emocjonalny i liryczny. Śląsk, podobnie jak cała Polska i cała Europa, grzązł wtedy w ogromnym, nieporównywalnym z dzisiejszym, kryzysie gospodarczym. W Nowym Jorku wyskakiwali z okien drapaczy chmur – w Tarnowskich Górach ludzie popełniali samobójstwa na biegnącej przez miast magistrali kolejowej, dwa razy zdarzyło mi się widzieć rozrzucone na torach ludzkie zwłoki. Na odcinku między Nakłem a Tarnowskimi Górami pociągi musiały zwykle zwalniać i wtedy z pobliskich pól rzucały się na wagony całe watahy bezrobotnych, którzy zwalali bryły węgla na tory, a ich koledzy brali je na plecy i przez pola uciekali w stronę Bobrownik, często gonieni na rowerach przez policjantów. Oczywiście, byłem po stronie uciekających.

Tarnowskie Góry dziś, fot. Wikipedia.

MB: Często słyszę od artystów, intelektualistów stąd się wywodzących, że do Śląska trzeba nabrać dystansu, że aby zrobić coś dla Śląska, trzeba go – na czas jakiś czy na stałe – opuścić. Pański przykład potwierdzałby tę opinię.

PG: Nie rozumiem, jak można mówić, że coś się robi d l a Polski czy w tym wypadku d l a Śląska. Nie rozumiem, jak można twierdzić, że po to, aby coś dla Śląska zrobić, trzeba z niego wyjechać. Powiada pan, że mój życiorys wskazywałby, że tak rzeczywiście jest. Otóż nie sądzę.

We wrześniu 1939, w ramach tzw. przysposobienia wojskowego w naszym gimnazjum, „wyszedłem" z Tarnowskich Gór z nadzieją, tak nam obiecywano, że gdzieś tam dostaniemy broń i będziemy walczyć. Tak się nie stało. I nie winię za to ówczesnych władz polskich – ci, co obwiniają za klęskę kampanii wrześniowej ówczesne rządy, mają pomylone w głowach. Po dwóch dniach mój oddział, kilkakrotnie bombardowany i ostrzeliwany przez niemieckie Stukasy, rozleciał się, a ja w pojedynkę ruszyłem dalej w kierunku granicy rumuńskiej. Do tej przypominającej jakąś apokalipsę rejterady przez południowo-wschodnią Małopolskę wracam w pisanej obecnie powieści… Uciekałem więc, mogłem jednak wrócić do domu. Nie zrobiłem tego. Z tej prostej przyczyny, że się bałem Niemców, i to nie tych chłopców na Pustkach, śpiewających „Die Fahne hoh", a tego, co mi się kojarzyło z tamtym ogniskiem, hukiem ognia, na łące za

kościołem parafialnym w moim Zawadzkiem. Zgoda, wtedy znalazłem się za granicą, żeby walczyć o Polskę. Zostałem żołnierzem brygady pacernej gen. Maczka i przeszedłem szlak bojowy od Falaise do Bredy, gdzie, ranny, skończyłem moje bojowanie o Polskę.

MB: Ale wrócił Pan do kraju. I w 1957 roku opuścił go tym razem na stałe.

PG: Mój drugi i ostateczny już wyjazd z Polski też był ucieczką, tym razem przed bezpieką. Wyjechałem więc nie dlatego, żeby móc coś dla Polski czy dla Śląska poza krajem robić, ale ze strachu przed przesłuchaniami na ul. Kochanowskiego w Poznaniu, torturami, strzałem w tył głowy. Fakt, że na emigracji napisałem kilka książek, które są pewnym wymiernym wkładem do literatury polskiej, miał charakter, powiedzmy, incydentalny.

MB: Czuje się Pan pisarzem *tout court*, czy pisarzem ze Śląska?

PG: Czuję się po prostu pisarzem polskim. Nie wiem, na czym miałaby polegać śląskość w pisarstwie. Moja ostatnia powieść „Zwidy na wysokościach" jest umiejscowiona w Tarnowskich Górach, ale równie jej akcja mogłaby przebiegać w jakimkolwiek innym polskim mieście. Miłość, cierpienie, śmierć, wygnanie, zdrada, powrót do rodzinnego gniazda mają wymiar ogólnoludzki. Pejzaż, tło, znaki drogowe mogą być miejscowe,

ale to, co człowiek czuje, co ma w sercu, będzie w dużym stopniu jednakowe pod każda szerokością geograficzną.

MB: Bo teraz, mówiąc Pańskim słowami, to są książki o tym, że A kocha się w B, a C kocha D… Powiedział Pan, przy okazji ostatniej wizyty w Polsce, że nareszcie, nareszcie może Pan pisać takie właśnie książki, bo z własnymi trupami w szafie już się uporał. Jakie trupy siedziały w Pańskiej szafie?

PG: Trupy w mojej szafie… To jest sprawa bolesna i skomplikowana, z którą do dziś się nie uporałem. Ja nie padłem ofiarą „ukąszenia heglowskiego”, w moim życiorysie nie ma „krótkiej przygody ze stalinizmem”, mnie nie zauroczyła faryzejsko-humanistyczna retoryka komunizmu. Dwa tygodnie po powrocie do Polski, jesienią 1949, zdałem sobie sprawę, że to jest zbrodniczy i nieludzki system, i że prędzej czy później trzeba będzie się z tego kraju wydostać. Przedtem, jeszcze będąc w Anglii na uniwersytecie, znając całą prawdę o Rosji sowieckiej, wyobrażałem sobie jednak, że tu się kształtuje jakaś radykalna forma socjalizmu, ale polska forma, na tyle więc cywilizowana, że dałoby się w niej żyć. Moje marzenia, z którymi wracałem do Kraju, żeby pisać, żeby oddać w pisaniu wizerunek tego, co dotąd przeżyłem, wzięły w łeb. Tu wszystko było kłamstwem. A ówczesny polski Parnas literacki piał z zachwytu, tarzał się jak świnie w uwielbiającej zbrodnię samozatracie. I wówczas powiedziałem sobie, że nie będę kłamał, iż żyjemy w raju.

MB: Mógł Pan nie pisać. Ale Pan chciał pisać.

PG: Od czasów moich pierwocin literackich w gimnazjum – zawsze chciałem pisać, chciałem drukować, chciałem zobaczyć własną książkę na półce. Nie chcąc więc pisać o dobroczynnych skutkach zaorywania miedz, o szczęściu jasnowłosych dziewcząt, którym władza ludowa i „nasza partia" umożliwiła zajęcie miejsca za kierownicą Ursusa, nie chcąc unosić się nad dokonaniami przodowników pracy realizujących 150, a nawet 200 procent normy, nie chcąc wreszcie pisać o inteligentach z włosiennicą na grzbiecie, kajających się za swoje inteligenckie pochodzenie – postanowiłem, że będę produkował tzw. thrillery. Wybrałem pośledni gatunek literacki, ale myślałem, że może, z czasem… Często nachodziła mnie pokusa, żeby, jak to się wówczas w kołach literackich mówiło, „przełamać się", „zrzucić starą skórę". Nie wiem, co mnie powstrzymywało od postawienia tego kroku. Tyle wiem, że nie chciałem kłamać, nie chciałem się brukać. Ale nawet pisząc „thrillery", nie sposób było uciec od rzeczywistości. W ten sposób ja też się utytłałem i swoim pisaniem zatruwałem dusze czytelników.

Wtedy wybuchła tak zwana sprawa Bergu, wspaniały materiał na dreszczowiec. Napisałem na jej podstawie powieść pod tytułem „Nocny zrzut". To jest wredna książka, niegodziwa, judaszowska, podła. Gdy dziś o tym myślę, przychodzi mi do głowy jeszcze jeden przymiotnik: obrzydliwa. Ale to zrozumiałem dopiero

później. Znalazłem tę książkę po latach w bibliotece Radia Wolna Europa w Monachium. Od czasu wyjazdu z Polski w 1957 roku zawsze myślałem, zawsze się bałem, że kiedyś przyjdzie chwila, gdy ktoś mi rzuci tą książką w twarz. I kolega redakcyjny, którego bardzo szanowałem, zapytał mnie kiedyś: „Jak mogłeś, jak TY mogłeś napisać coś takiego?". Mnie wtedy zabolało nie to, że mi zarzucił niecny czyn, mnie zabolało to, że ta książka go uraziła, ja mu tą książką sprawiłem przykrość, ja tą książką utwierdzałem jego powątpiewania o ludzkiej przyzwoitości. Bo on tym pytaniem nie chciał mi dokuczyć czy w jakikolwiek sposób mnie poniżyć, zresztą to było już po wydaniu mi przez Giedroycia „Krótkiego żywota bohatera pozytywnego". A kilka lat później inny kolega, przyjaciel wówczas, też pisarz niedawno przybyły z PRL, zapytał mnie: „Dlaczego ty po prostu nie weźmiesz tej książki i jej nie spalisz?".

Nie wziąłem, nie spaliłem. Myślę, że nie jest zabiegiem pochwalnym poprawianie swojej biografii zacieraniem śladów po czynach, które dziś potępiam. Jeśli już, to ślady należy zabezpieczać, aby nie fałszować historii, która nie jest przecież moją osobistą własnością. Nie sądzę, żeby była właściwa postawa tych naszych pisarzy, którzy swego czasu pełnili funkcję utrwalaczy władzy ludowej, a potem spuścili na ten okres zasłonę milczenia i zachowują/zachowywali się tak, jakby tej czarnej dziury w ogóle nie było.

Napisałem tę książkę. Ministerstwo Obrony Narodowej przyjęło ją do druku. Zanim jednak powzięto ostateczną decyzję, do Poznania, gdzie wówczas mieszkałem, przyjechał redaktor z wydawnictwa, niejaki pan Koźniewski. Przez dwa dni po kilka godzin dziennie siedzieliśmy u niego w hotelu „Bazar", a pan Koźniewski, strona po stronie, linijka po linijce, układał ze mną, człowiekiem już zniewolonym, politycznie poprawny wydźwięk powieści. Pamiętam, jak w pewnej chwili na jakieś moje zastrzeżenie rzekł: „Proszę pana, MY Hamletów nie potrzebujemy, albo się jest z nami, albo przeciwko nam".

MB: Kandydatów na Hamletów było wtedy jak na lekarstwo.

PG: Nie dodam sobie chwały, odpowiadając szczerze, że to miała być moja pierwsza książka i że zależało mi na tym, żeby wyszła. Tu zagrała moja próżność, w ten sposób zdobywałem wstęp do upragnionych kręgów, choćby tylko takich jak kawiarnia literatów na Krakowskim Przedmieściu. Cała ideologia, czyli tło fabuły, cały ten sztafaż górnolotnych pojęć zaczerpnięty z „Poradnika agitatora", to wszystko było mi zupełnie obce, naprawdę mi wisiało.

Przez osiem lat pobytu w PRL, oprócz tego nieszczęsnego „Nocnego zrzutu" napisałem jeszcze trzy inne powieści kryminalno-sensacyjne, które zapewniały mi wcale dostatnie życie. Ale to były tylko czytadła, to nie była literatura i byłem

tego w pełni i boleśnie świadomy. Zawsze jakaś część mnie stała obok, gdzieś na stronie, i uważnym okiem mi się przyglądała i mnie oceniała. Przez tych osiem lat to drugie ja mnie potępiało, zarzucało mi zdradę, drwiło z mojego, tanimi środkami osiąganego, samozadowolenia. I gdyby nie to, że w skrytości ducha wiedziałem, że stać mnie na coś lepszego, byłbym zapadł na debilitujący kompleks niższości. Zresztą ten kompleks już we mnie dojrzewał: jaki ja się czasami czułem mały!

Z upływem tych peerelowskich lat to drugie, nieodstępujące mnie ja, coraz bardziej się do mnie dobierało, kłuło sumienie, roztaczając przede mną widok na grzęzawisko samozatracenia rozległe jak przedwojenne błota pińskie. Szedłem ku ruinie. Trzeba się było ratować, chodziło przecież o moją duszę.

Gdzieś wiosną 1957 zacząłem pisać powieść. Jej fragment opublikowałem w „Tygodniku Zachodnim" wychodzącym w Poznaniu, którego byłem jednym z redaktorów. Fragment nosił tytuł „Dzień po śmierci" i był zaopatrzony w motto zaczerpnięte od O`Neilla: „When Truth and Love and God are dead, it is time, full time, to die". To był kawał solidnej, uczciwej prozy. Wstąpiłem na drogę odkupienia.

Mój skromny triumf na rodzimej glebie nie trwał długo. Fragment powieści ukazał się z datą 2 listopada 1957, a już pięć dni później, dokładnie 7 listopada, wraz z moją piękną angielską

żoną i dziesięcioletnim synkiem przekraczaliśmy w Kunicach granicę z NRD. Tego samego dnia znaleźliśmy się w Berlinie, a tydzień później wszyscy byliśmy już w Londynie. Żona z synkiem polecieli samolotem, ja pojechałem pociągiem, bo na trzeci bilet lotniczy nie mieliśmy już pieniędzy.

MB: Jak Pan myśli, jakie trupy siedzą w szafie przeciętnego Ślązaka?

PG: Proszę pana, jest takie powiedzenie angielskie, bodajże z Szekspira: „There but for the Grace of God goes I", co mniej więcej znaczy, że tylko łaska boska uchroniła mnie przed podobnym (w domyśle: nieszczęśliwym) losem. Otóż gdyby Śląsk, mam na myśli Górny Śląsk, bo to jest moja kraina, mieścił się tam, gdzie historia usytuowała na przykład Małopolskę wschodnią czy gdzieś na północno-wschodnich rubieżach Drugiej Rzeczypospolitej, Ślązacy też, prawdopodobnie, nie zarzekam się, prawdopodobnie też mieliby niejedno na sumieniu. Ale u nas nie było zwartych skupisk żydowskich, więc kiedy Niemcy likwidowali getta czy żydowskie dzielnice w miasteczkach, Ślązacy nie czekali, aż naszych żydowskich braci Niemcy wywiozą do Oświęcimia czy innego obozu zagłady, żeby jak hieny rzucić się na rabunek pożydowskiego dobytku. U nas nie było Jedwabnego czy Radziłowa, ale gdyby geografia obeszła się z nami inaczej?… To właściwie wszystko, co można na ten temat powiedzieć. Całą reszta, w każdym człowieku inaczej, jest nie do

odgadnięcia. A gdyby ją można było odgadnąć, zobaczyć demony, które się w nas czają, to prawdopodobnie wszyscy skończylibyśmy w zakładzie dla obłąkanych.

MB: Ale czy to prawda, że Ślązacy są w środku inni? Powiedział mi kiedyś ks. prof. Jerzy Szymik, profesor KUL-u i poeta, że kiedy czytał Mickiewicza, doszło do niego, że nadniemeńska puszcza to nie jest jego las. Że jego las jest gdzieś pod rodzinnym Pszowem – to ten sam las opiewany przez romantycznego poetę niemieckiego Eichendorffa. Że na Śląsku ludzie mają inną mentalność od bohaterów „Pana Tadeusza", że na Śląsku grzeszy się inaczej.

PG: Lubię „Pana Tadeusza", głównie za piękną polszczyznę, która jest prosta, elegancka, nie zabagniona barokiem ani estetyczną pretensjonalnością. Takim językiem wciąż mówi kulturalny i wykształcony Polak. Ale postacie „Pana Tadeusza" są mi obce, to są kukły. Ładne to jest, owszem, ale to bajka, a jedyna postać, o której da się z żywością myśleć, to Telimena (któż by się z nią nie przespał). Mickiewicz tym utworem dał nam wzorzec pięknej polszczyzny, ale jednocześnie zaczadził umysły pokoleń Polaków. Niestety. Polacy wciąż tęsknią za krainą, jaka nigdy nie istniała, identyfikują się z ludźmi wydumanymi na paryskim bruku, stworzonymi z tęsknoty.

Mnie „Pan Tadeusz" nie oczarował, nie uwiódł swoją własną

słabością. Nie tęsknię, nigdy nie tęskniłem za Soplicowem, to nie jest kraj moich dziecięcych baśni, nie tam leży Eden mojej niewinności. Mój las jest na Monisku w Zawadzkiem – istnieje do dziś, tak sam, jak wtedy, gdy byłem mały i na Monisku spędzałem moje letnie wakacje. Przechodziło się przez prostokątne, długie podwórze obok piekarnioka, obok haźla (co za ohydne słowo!), obok dwóch sosen, o które opierały się wysokie i proste jak strzała żerdzie, pomocne starzykowi przy gospodarstwie – on sam robił grabie, uzupełniał połamane części wozu itd. – i zaraz potem wychodziło się w las. Ten las był rozgrzany w słońcu, ten żar czułem na moich bosych nogach, powietrze nasycone zapachem gorącej żywicy drgało, iskrzyło się jak rodzaj czarodziejskiej zawiesiny, a potem, kilkanaście metrów dalej, w niezbyt głębokim wądole płynęła krystalicznie czysta Malapana, czyli Małapanew.

Często przed snem widzę siebie biegnącego drogą przez las obok rzeki, pędzę dwie krowy na pastwisko, potem siedzę albo leżę na miedzy i czytam polskie kalendarze wydawane, jeśli dobrze pamiętam, w Raciborzu, w których dużo było o Husytach i Taborytach. I owszem, niemal zawsze w ten sen, pół-sen wplątują się dźwięki fletów, trąbek, piszczałek chłopaków na Pustkach, po drugiej stronie rzeki, przemierzających ulice osady i śpiewających hitlerowskie i starogermańskie pieśni. Ale to mi nie przeszkadza, w niczym nie mąci słodyczy i czaru tego wspomnienia.

MB: Ale to nadniemeńska puszcza zawładnęła polską zbiorową wyobraźnią, cała właściwie literatura polska była obrócona na wschodnią stronę.

PG: Kresy wschodnie dały nam Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, współcześnie Miłosza i wielu innych, którzy na trwałe zagospodarowali naszą kulturę, sztukę, wyobraźnię. I tego im zazdroszczę, tym dawnym kresom wschodnim. Na Śląsku tego nie mamy. Zastanawiam się, dlaczego tak jest. Nasuwa mi się taka odpowiedź: wszystko kulturalne i artystyczne, co stamtąd pochodzi, bierze się z tęsknoty. Tak jak gdyby oni wszyscy wiedzieli, że ich świat się kończy, coraz bardziej oddala. A tęsknota i nostalgia to doskonałe budulce sztuki. Śląsk natomiast, to znaczy nasz polski Śląsk nie miał jeszcze swego zenitu, my tu ciągle jeszcze patrzymy w przyszłość, tam, na zachód, i nie wiemy, jaka ona będzie. Proszę zwrócić uwagę, że Śląsk jest utraconym Edenem dla niemieckojęzycznych pisarzy śląskich, którzy musieli go opuścić.

MB: Jacy są Ślązacy? Jacy byli Ślązacy, których Pan pamięta?

PG: Na Śląsku dominującą była kultura i cywilizacja niemiecka. To dało Ślązakowi szacunek do pracy, honor, który się w pracy zawiera, wytrzymałość. Ślązak jest mocny i twardy, na Śląsku słabeuszami się zawsze gardziło (czego lud chrześcijański nie powinien robić), za niedołęgami leciały wyzwiska. Ślązacy

zawsze mieli w wysokiej estymie prawo, tu nie było anarchii, Ślązak potrafił sobie narzucić dyscyplinę. Ślązak nigdy nie płaszczył się przed drugim człowiekiem, nie „kłaniał się czapką do ziemi", jak to czynił wobec Stalina Władysław Broniewski, choć z drugiej strony serdecznie go nienawidził. Na Śląsku nie widziało się tej niezaradności, jaka była niemal powszechna w dawnym zaborze austriackim czy rosyjskim, tej ślamazarności, zatrważającego braku higieny osobistej chłopa polskiego, co to się mył raz na miesiąc, a o szczotce do zębów nigdy nie słyszał.

MB: A wady? Nie mają wad? Nie są zbyt pasywni, nieśmiali, wręcz „dupowaci", jak mówią nawet śląscy publicyści? Czy nie przez tę pasywność wyjeżdżali, zamiast trwać i opierać się, za łatwiejszym chlebem do Niemiec?

PG: Tym, co mówią o śląskiej „dupowatości" (i niech im Pan Bóg za to odpuści lub przynajmniej skróci męki piekielne), dedykuję następującą historyjkę. Mój ojciec urodził się w rodzinie robotniczej w roku 1894 w Zawadzkiem. Walczył w Reichswerze, a potem w dwóch powstaniach śląskich. Kiedy po plebiscycie Zawadzkie przypadło Niemcom, ojciec przeprowadził się do Tarnowskich Gór. Pracował na poczcie, najpierw jako listonosz, potem jako urzędnik „w okienku", co było wielkim awansem. Prenumerował „Polonię", która była związana z Wojciechem Korfantym. Ja, nie podzielając jego chadeckich poglądów, wychowałem się w jego kulcie. W „Polonii" pisywał jeszcze

Aleksander Świętochowski, mój ojciec czytywał jego olbrzymie artykuły, a jak trafił na słowo, którego nie znał, mnie się pytał.

W trzydziestym którymś roku, zaciągnąwszy pożyczkę w Banku Gospodarstwa Krajowego, ojciec wybudował dwupiętrowy dom. Przez pewien czas mieszkanie na piętrze zajmowała „pani doktor", pochodząca z Kongresówki czy z Galicji, nie pamiętam. Miała dwie córki. Uczyła języka polskiego w gimnazjum żeńskim. Mieszkanie składało się z trzech pokoi, dużej kuchni, spiżarni, tzw. antryjki, ubikacja, dla każdego mieszkania osobno, znajdowała się na klatce schodowej. Pani doktor zatrudniała służącą, też gdzieś ze swoich stron, która spała na podłodze w antryjce i była brudna. Otóż tam u nich w kuchni na stole i na podłodze było wszystko: obierzyny po kartoflach, brudna bielizna, butelki, w których pleniła się pleśń, niemyte garnki i talerze, książki, rozsypane sterty zeszytów szkolnych do poprawiania. Smród przenikał aż na klatkę schodową. I któregoś dnia mój ojciec poszedł na górę i powiedział: „Pani doktor, ja panią przepraszam, ale pani się musi stąd wyprowadzić, inaczej mi pani cały dom zapaskudzi".

A w sprawie wyjeżdżania Ślązaków do Niemiec. Miałem wujostwo w Imielnicy, w pobliżu Zawadzkiego. Był to w miarę zamożny i szacowny gospodarz. Tak zwana Polska Ludowa lżyła go, że nie jest Polakiem, upokarzała go, tzw. autochtona, na każdym kroku, dobijała podatkami, domiarami i Bóg wie, czym

jeszcze. Wujostwo umarli, a cała reszta rodziny przeniosła się do Niemiec Zachodnich. Nie mam im tego za złe. Tam odzyskali godność ludzką. Człowiek ma tylko jedno życie i nie można go winić za to, że stara się przeżyć to życie w sposób możliwie bezbolesny. Nikt nie lubi, gdy mu się pluje w twarz. (…)

MB: Czy… drzwi Pańskiej szafy jeszcze czasem… skrzypią?

PG: Do Polski, kiedy ponownie stała się wolna, przyjechałem dopiero w roku 1994. Zwlekałem, powodowany w dużym stopniu obawą o wstyd, z jakim – myślałem – przyszłoby mi się zmierzyć. I rzeczywiście, hydra pytająca o ten nieszczęsny „Nocny zrzut" podniosła swój łeb. W drugim dniu pobytu w Polsce byłem w Poznaniu, kiedy pewna pani zapytała mnie, jak się zapatruję na tę powieść w świetle wszystkiego, co się w Polsce stało po roku 1989. W pokoju zaległa cisza. Ciężka i złowieszcza jak ołowiane wieko trumny. Oczy całego towarzystwa przebijały na wskroś mój wątły korpus niczym strzały św. Sebastiana. Gospodarze domu, z gościnności których korzystałem, zresztą przyjaciele z dawnych lat, doświadczyli, widziałem to w ich oczach, w spojrzeniach, jakie między sobą wymienili, doświadczyli, powiadam, chwili głębokiego zakłopotania, mnie zaś zrobiło się bardzo przykro, że ich na coś podobnego mimo woli naraziłem. Kolega w Monachium pytał przed laty: „Piotrze, jak ty mogłeś coś takiego napisać?", jego bolało, że ja się ta książką upodliłem, ale nie pytał mnie po to, żeby mi dokuczyć, żeby się nade mną

pastwić. Natomiast ta pani, której wilcze oko tkwiło we mnie niemiłosiernie, świadome zadanej mi rany, tę ranę swym przeciągłym spojrzeniem rozdrapując, otóż ta pani triumfowała, jej korpulentne ciało stało się jakby nieważkie, jakby przezwyciężyło swoją małą posturę i lewitując, unosiło się w powietrzu. Ja zaś pod jej wzrokiem wiłem się jak nadepnięta dżdżownica.

Ale spojrzenia gospodarzy, pełne przyjacielskiego zatroskania i chęci moralnego wsparcia, pomogły mi w odzyskaniu równowagi. Odpowiedziałem, że się tej książki wstydzę, że od wielu lat siedzi we mnie poczucie winy, że nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam się z tego grzechu oczyścić. Nie wspomniałem przy tym o twórczym udziale pana Koźniewskiego w przypasowaniu książki do obowiązującej wówczas ideologicznej poprawności, gdyż to mogłoby wyglądać na próbę choćby tylko częściowego zwalania z siebie winy. Ale wątpię, żeby moja wypowiedź znalazła łaskę w oczach usiłującej mnie pognębić pani.

Jednak gdy tylko skończyłem, zacząłem jakoś inaczej na nią patrzeć. Zrozumiałem, że dzięki niej sam siebie skonfrontowałem i to publicznie. Poczułem ogromną ulgę. Po raz pierwszy w Polsce w ten sposób się otworzyłem przed kimś, to był dla mnie przełom, nigdy tego nie zapomnę. I właściwie jestem tej pani wdzięczny. Że zrobiła to w sposób toporny, to już inna sprawa, ale ona miała prawo do swoich zarzutów. To była wredna

książka. Pod sensacyjną fabułą kryła się trucizna, która w umysłach czytelnika utwierdzała poczucie bezradności, nieodwracalności systemu, szkodliwa książka, która w podstępny sposób mówiła, że inaczej już nie będzie, nie może być i z tym się należy pogodzić.

Czy uporałem się z już z własnymi trupami w szafie, bo o to mnie pan przecież zapytał? To, co napisałem i wydałem od czasu wyjazdu z Polski w 1957, jest chyba taką próbą. Ale chciałbym podkreślić, że pisząc, daleka mi była myśl, że w ten sposób dokonuję rozrachunku z samym sobą i się oczyszczam. „Krótki żywot bohatera pozytywnego" powstał na podstawie pewnego wydarzenia, które miało miejsce w Tarnowskich Górach. Mąż znajomej mi osoby – w gimnazjum był o jedną klasę niżej ode mnie – funkcjonariusz bezpieki, po sprawie Różańskiego i Fejgina przestraszył się, że on też pójdzie siedzieć i wsadził głowę do pieca, odkręciwszy wszystkie kurki. A gdyby zamiast wybierać śmierć, postanowił się bronić? Z takiego postawienia sprawy zrodziła się ta powieść. Dostałem za nią nagrodę paryskiej „Kultury". Stałem się pisarzem, już nie musiałem w skrytości ducha się wstydzić ani obłaskawiać swojego kompleksu niższości. A kilka lat później za powieść „Stan wyjątkowy" zostałem nagrodzony przez londyńskie „Wiadomości", wciąż redagowane przez Grydzewskiego – pismo, w którego wersji przedwojennej pisywali Żeromski, Nałkowska, Wierzyński, cała plejada najlepszych pisarzy polskich. Doprawdy, pisarz

emigracyjny nie mógł marzyć o większych laurach.

Ale grzech, dlatego tylko że został ujawniony, nie przestaje być grzechem i nie przepada w jakiejś czarnej dziurze.

***Marek Baster**, dziennikarz, redaktor miesięcznika „Śląsk”, współpracownik m. in. „Gazety Wyborczej”, „Rzeczpospolitej” i „Polityki”, pracownik Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Przeprowadził wiele świetnych wywiadów. Jego rozmówcy, wybitni artyści, naukowcy, politycy zwierzali mu się z rzeczy i spraw, których nikomu innemu by nie powiedzieli.*

Zginął tragicznie w wypadku samochodowym 7 kwietnia 2004 r.